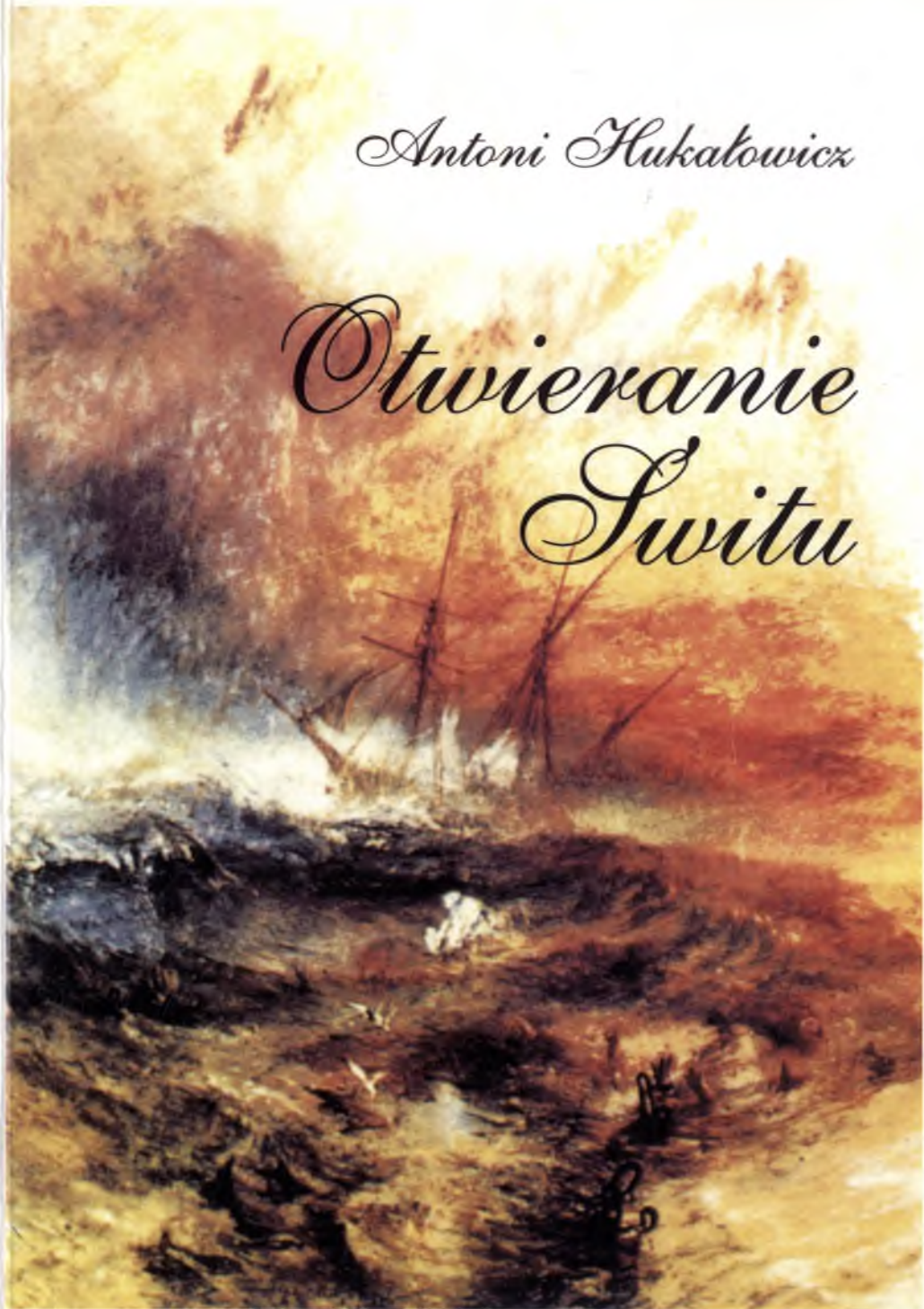


Antoni Hukalowicz

*Otwieranie
Switu*



Antoni Hukatowicz

Otwieranie Switu

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego
Białystok 2001

© Copyright by Antoni Hukałowicz 2001 r.

Redaktor: Jan Leończuk

Ilustracja na okładce: fragment obrazu Williama Turner'a
„Niewolnicy wyrzuceni za burtę”

Książkę wydano przy pomocy finansowej
Urzędu Miejskiego w Białymstoku
oraz

Sławomira Halickiego
Dyrektora Miejsko – Gminnego Centrum Kultury
w Choroszczy



ISBN 83-88248-36-7

Wydanie I

Wydawnictwo:

KSIĄŻNICA PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego

Skład i druk:

Artico Artur Rubin, 16-070 Choroszcz, ul. Powstania Styczniowego 18/28
tel. 0 602 72 85 82

KP Białystok-EO-2001/2331/1

W DOTYKU MILCZENIA

*Prof. Stanisławowi Chodynickiemu
za mój powrót do świata słyszących.*

I

Przyjaciele zabrali strofy zapieczone w chlebie
i odeszli daleko w poszukiwaniu cedrowych drzew.
Z hukiem zawałiło się przęsto życia –
cisza.

Ptaki umilkły, gałęzie drzew nie szumią.
Za matczynym lasem usnęły słowiki,
rozsypały się pozytywki młodości.
Pozostało wspomnienie gwarnego lata.
Moja rzeka płynie wartko, zalewa kartki zyciorysu –
milcząca.

Gdzie są nasze rozmowy przy starym młynie?
Meandrem omijasz łąki, bagna,
dotykasz linii horyzontu –
ciągle płyniesz, płyniesz, płyniesz ...

Rzeko,
nie opuszczaj mnie w dotyku fal ...
Zwodzony most,
po którym biegają zdarzenia –
nie skrzypi.

Idę śladem odcisniętym na piasku
trzymając w dłoni zakurzoną Ewangelię –
tylko to pozostało.

II

W pryzmacie światła roгатki wielkiego miasta.
Po kolejowym wiadukcie mkną spóźnione pociągi,
wiozą kolejne rozdziały życia.
Moja droga wydłuża się w poszukiwaniu nadziei,
wybrukowana dobrymi życzeniami.
W gabinetach lekarskich zatraskują drzwi –
obraca się klucz.

Na wyblakłej recepcji rozlały się słowa:
„*nic nie można zrobić*”.

Wysłużony stempel przykrył nieczytelne podpisy.
Asfaltowa uliczka zadrzewiona wspomnieniami,
dotyka bramy kościoła świętego Wojciecha.
Obok idą zakonnicy w habitach
i rozbudzeni święci –
poruszają bezgłośnie wargami.
Mijają mnie obojętnie i znikają w ruchu powiek.
Rozpacz dotyka duszy ścieląc nieme obrazy,
przesuwające się w korycie ulicy.
Miejskie latarnie płoną jak pochodnie
pochylone nad jezdnią,
po której przemykają resztki dnia.
Ćmy lecą do światła uczepione rękawa zmierzchu,
niepokojne
jak skrawki ciętego papieru
rozrzucone na wietrze –

opadają
i wznoszą się na fali wzmagającego się wiatru.
Jezdnie zachłysnęła się korowodem aut
i pociągnęła różnobarwną wstęgę pojazdów

poza obrzeże zmęczonego miasta.
Błękit neonów dotyka kamieniczki
ukrytej za wysokimi drzewami.
Okno jarzy się światłem,
firany dotykają nocy.
Fronton budynku podpira tabliczka
i tylko jedno słowo –

profesor.

W poczekalni na wieszaku wisi półmrok,
pod ścianą siedzą kobiety
zasłuchane w bicie niespokojnego serca –
milczące, zamyślane.

Przez uchylone drzwi biegnie smuga światła.
Wysoki cień pochylił się nade mną po uścisk dłoni.
W chabrowych oczach przepływają obrazy
rodzinnego domu –

przyjazne pejzaże.

Na biurku rozsypały się paciorki różańca –
modlitwy rozbiegły się po gabinecie.
Pióro ciągle biegnie po kartce papieru –
eksperyment.

III

Stare klonowce pochyliły się nad ławkami,
sypią purpurowe i pożółkłe liście.
Wiatr idzie obrzeżem kliniki,
dotyka pni drzew –
zatrzymał się na pasażu dla pieszych.

Na balkonie stoją puste krzesła jesieni.
Po sali krąży talia tarota.
Złotousta wróżka przysiadła na brzegu łóżka,
mozolnie układa domek z kart,
w którym będzie panowała wieczna cisza.
Pod metalową szafkę położyłem garść kasztanów –
babcine gusła.
Przez moją duszę ciągle płynie strumień wiary.
Jak rozbitek rzucony na głęboką wodę
podpieram się wiosłem nadziei –
dopłynę do zbawczego brzegu.
Podświadomość opasał promień przeświadczenia,
że człowiek,
który stanął na mojej drodze życia,
wyciągnie mnie z rzeki bez dna –
płynącej do nikąd.
Mściwe Erynie pochylili się nad zegarem życia,
zatrzymały wskazówki na cyferblacie.

IV

Nagle ożywienie –
obchód.
Korowód ważnych postaci zatrzymuje się
przy moim łóżku.
Profesor przysiadła obok.
Na kartce papieru jedno słowo –
jutro.
Tłuste literki biegną po białej pościeli –
niespokojne i bezradne.
Przez lufcik w oknie ulatują zmory i posępne myśli.

W konarach klonu czai się wieczór.
Wlokę się długim korytarzem do świetlicy,
gdzie pulsują srebrzyste złudzenia.
Na krzesłach siedzą ludzkie cienie.
Oglądam nieme obrazy filmu –
pod powieką wzbiera łza.

Przymykam oczy,
za opaską ciemności wywołuję głos żony i dziecka.
Krok po kroku przybliżam się do świata,
który wczoraj utraciłem –
nagle i bez ostrzeżenia.

Rozczesuję warkocz wspomnień,
myśli utknęły na drodze młodości,
pośród bliskich mi ludzi –
podparte obrazami życia.

Księżyc wdrapał się
na wierzchołek drzewa i zagląda przez szybę.
Na stoliku leży stos książek –
ucieczka od świata ciszy,

za którym czai się obłąd.
Framuga okienna dotyka nocy
uczeptionej nowiu księżyca.
Pod poduszkę schowałem święty obrazek.
Obok na krześle drzemie Anioł Stróż.

V

Biała kula wtopiona w sufit jak słońce,
dotyka rogówki mojego oka.
Lustro ścienne łowi niewyraźne cienie ludzkie.
Monitory pulsują zielonym światłem.

Ciasna skórzana opaska zaciska dłoń,
czuję zapach chloroformu.
W drzwiach przemknął cień żony
i rozpląnął się na ścianie.
Zapadła ciemność wypruta z obrazów,
snów i przewidzeń –
lustrzany zapomnienia.

VI

Winda cicho mruczy i wolno opada w dół.
Poza łącznikiem dudnią kroki ludzkich stóp.
Obok wózka przesuwały się postacie w piżamach.
Białe fartuchy uciekają pod ścianę –
ruch do zatracenia.

Na progu mojej sali niespokojne twarze,
na których zawisły znaki zapytania.
Chmura przesunęła się za oknem
i wyjrzało zdziwione słońce.
Sąsiad pochylił się nad wózkiem –
długo pana nie było ...

Korytarzem biegnie harmider,
wózki dudnią jak ekspresowe pociągi,
ludzki głos przeradza się w krzyk.
Szyba zastygła w pejzażu wielkiego miasta.
Napływa mgła snu,
poprzez którą biegnie przytłumione echo –
kościelnych dzwonów.

VII

Na dnie flakonu zatrzymało się zimowe słońce,
obok
opaste księgi regałami podpierają sufit.
Profesor powoli domyka drzwi świtu –

jutro operujemy drugie ...

Łagodny, miękki głos wibruje na dnie ucha.
Po korytarzu snują się cienie z podciętymi gardłami.
Sąsiad składa na kopercie niewyraźne litery.
Oddział nieszczęśników
pozbawionych słuchu, mowy –
szukających zagubionej lampy Aladyna.

Zaglądają do lekarskich gabinetów,
idą do szpitalnej kaplicy w poszukiwaniu pomocy.
Zatracili tożsamość i odeszli za parawan urojenia –
popadli w odrętwienie.

Zapatrzeni w wymiar sufitu napotykJają pustkę,
płynącą w duszy wypłukanej z wszelkiej nadziei.
W słoiku opadają płatki zwiędłych kwiatów.
Przez uchylone balkonowe drzwi
wchodzi syberyjski mróz okutany w ciepły kożuch.
Sikorka bogatka stuka dziobkiem o szybę –
prośba o okruszek chleba.

VIII

Żyła sący chłodny powiew snu.
Rozmazują się ludzkie twarze i znikają.
Przekraczam bramę,
za którą rosną kwitnące drzewa.
Przejdźcie do sadu zagrządza rów z wodą.

Bezdomny wiatr unosi poźółkle fotografie.
Ulatują za horyzont,
gdzie na Wichrowym Wzgórzu stoi rodzinny dom –
drzwi zaparte modlitwą.
Tam bliscy ciągle czekają na mój powrót.
Droga nie mieści głazów –
mniejszych, większych.
Dźwigam kamienie życia póki starczy sił,
do końca szlaku daleko –
zagubiony pielgrzym.
Za zakrętem kościół ciągle stoi –
dzwony milczą.
Nawa pusta, przy ołtarzu płonie oliwna lampka.
W witrażach drgają cienie nocy.
Po klawiaturze organów delikatnie stąpa świt.
Wiatr domyka dębowe wierzeje.
Nagle przebudzenie.
Siostra odpina pas –
sala pusta
Zmęczone monitory zasypiają,
w windzie czeka patron wędrowców.

IX

Płomień świecy dopala ostatnie słowa modlitwy.
Do drzwi pukają Mędrcy Wschodu.
Zgubili klucz czasu na gwiazdzistym szlaku.
Pod zegarem wystrojona jodła przegląda się w lustrze.
Przy wigilijnym stole spotkanie pór roku.
Na talerzu leży opłatek nadziei.
Twarze bliskich zapadły w głęboką zadumę.

Córka i żona podają dużą paczkę –

to dla ciebie ...

W środku klawiatura, nowe czcionki.

W fotelu przysiadł święty Józef
i nuci pastoralkę.

Dnem uszu płynie pieśń –

cicha noc ...

NA KRAWĘDZI PRZEMIJANIA

Na szybie przekrwione słońce przesuwają się
za kępę olszyny.

Zatrzymuje się na chwilę w konarach topoli –

wędruje dalej.

Za Białymi Dolinami złocą się łąbiny,
falują kłosa żyta i owsa –

w dotyku wiatru.

Polny strach w podartym roboczym ubraniu
i dziurawym kapeluszu ze słomy pilnuje zasiewów.

Ptaki omijają Górę Powstańców

i zaglądną do sadów, gdzie dojrzewają wiśnie.

W ścianach domu starcze ręce i posiwiała głowa,
którą motają senne widziadła –

urojenia starości.

Na stole suszą się zioła,

pod kominem leży garść chrustu.

Na dnie duszy osiadł smutek –

tęsknota za bliskim człowiekiem.

Z dłoni wypada linia życia –

ubywa sił.

Przy furtce stoi przeznaczenie.

Na powiekach dotyk palców Morfeusza.

Za oknem dzwony ciągle biją, biją . . .

Od strony zwodzonego mostu

pędzą pocztowe dylizanse.

Wiozą pełny wór nowin.

PO DRUGIEJ STRONIE PUSZCZY

I

Świt potyka się o powalone pnie sosen.
Wąską przecinką przebiegła sarna
i skryła się w zagajniku leszczyny.
Skraju lasu pilnuje drogowskaz,
pochylił się ku ziemi –

zapomniany.

Sierpień wlecze poranne mgły.
Babie lato zakręciło koło w powietrzu
i spłynęło na gałązkę jarzębiny.
Za wypaloną miedzą
piaszczysta droga prowadzi
do bramy wspomnień.
Leniwa rzeka budzi ze snu miasteczko
sięgające korzeniami do czasów pradawnych.

II

Ulicami pełnie czarna śmierć.
Gasną światła w oknach.
Drzwi domów podpierają cienie zmarłych.
Zapraszają żyjących do długiej wędrówki.

Obolały świt liczy trupy
zalegające rynek, duszne ulice.
Do bramy miejskiej puka pustelnik –
 przyszedł z głębokiej puszczy.
Zmęczony usiadł pod ratuszem
i opowiada proroczy sen,
który złowił w świętym uroczysku.
Południe rozkołysało dzwony kościelne.
Rzesza ludzka płynie do horyzontu
niosąc święte chorągwie.
W zamodlonych twarzach
zastyga ból i cierpienie.

III

Uciekają piaszczystą polną ścieżką
ścigani przez zarazę –
 kadzidła ciągle dymią.
Wsluchują się w puls niespokojnego serca
z cichym szeptem
pozbawionym echa –
 co jutro będzie ...
Późnym popołudniem
dotarli na wzgórze otoczone lasem.
Obok źródło chłodne bije.
Wiatr nasycony sosnową żywicą
pędzi morowe powietrze na milczące pola.
Ptaki skryły się w gniazdach,
utuliły pod skrzydła wczesny zmierzch.
Zmęczone płuca ludzkie
wdychają ożywcze powietrze.

Spragnione usta zachłysnęły się
kryniczną wodą.
Ogniska podpierają długą noc.
Przeżyli.

IV

Pielgrzymuję do Sosnowego Boru.
Ustawiam drewniany krzyż
pośród innych krzyży.
Przychodzę do chłodnego źródła,
dotykam pni wiekowych drzew.
Oczekuję na mocny wiatr.
Wypatruję obrazów z przeszłości –
z nadzieją,
że dusze naszych przodków
pozostaną z nami –
ludźmi z otwartą twarzą.

CHOROSZCZAŃSKIE BŁONIA I

I

Uliczką ocienioną drzewami
przemyka słoneczny dzień,
potyka się o wyboje, kamienie.
Spiesz do kościoła,
gdzie dzwony rozkołysane wiatrem ciągle grzmia.
Spiszowe tony spływają na miasteczko,
pukają do drzwi chat
i po chwili mkną do pałacu –
 niosą ważne wieści.

Klasztor pochylił się w cieniu drzew
i zastygł w sennym półśnie –
 drzemie.

Szybę czasu dotyka smuga światła.
Zakonnicy pochyleni nad woluminami
poszukują tajemnych znaków –
 słów prawdy.

Na pulpit szkolnej katedry opada gęsie pióro.
Czerpany papier mieści parę strof dnia.
Bakałarz zasłuchany w głos chłopca
pochylił się nad słowem mocno zatroskany.
Pod sufitem zawisły obrazy
dumę i respekt budzące.

Kadłubek przeszedł cieniem przez refektarz
domykając drzwi przeszłości –
 chór nuci chwalebna pieśń.

Zamilkły dzwony.
Od strony Zastawia mknie powóz.
Ciągnie za sobą pył i kurz.
Kare konie skręcają w stronę rynku
i pędzą do pałacu,
gdzie czeka hetman
zatopiony w księdze życia.

II

Kandyd skrył się w bocznej nawie kościoła –
nastuchuje kroków.

Spogląda na ołtarz,
gdzie wisi „Ukrzyżowanie” pomoc niosące.
Do dębowych drzwi cisną się niewidomi, głusi,
kalecy oczekujący na cud –

schorowane ludzkie ciała.

Na ostrzu płomienia świecy dopała się popołudnie.
Gromadka dzieci wysypała się na dziedziniec
i jak wróble rozbiegła po rynku,
gdzie kramy żydowskie rozbudziły się z odrętwienia.
Przez uchylone okno klasztornej szkoły wypadły słowa.

Literki alfabetu tocząc się po piasku,
skryły się w wysokich trawach
podpierających ceglany mur.

W lustrze pamięci stoją: stary młyn, gorzelnie, browary.

W oknach folwarku świeci tuna do północy –

gwar i ruch.

Opłotkami miasteczka skradają się cholera i dżuma.



Cmentarze ozywają pamięcią o bliskich,
o których upomni się złowróżbny los.

Na ulicach dudnią kołatki –

pod przydrożnym krzyżem
spowiada się śmierć.

III

Wahadło starego zegara nie śpi –

kołyszże się dzień i noc.

W pamięci zastyga obraz Augusta III.

Przed pałacym czeka dworski orszak.

Nowy król wkroczył na kamienny most –

polowanie rozpoczęte.

Z klatek wybiegły niedźwiedzie, lisy i sarny.

Do kanału z wodą biegnie rozjuszony dzik.

Kałuże krwi rozlały się po dziedzińcu.

Rzeź trwa do późnego popołudnia.

Słońce skryło się za wierzchołki drzew –

zawstydzone.

Na kolbie kuszy zastyga ludzki pot.

Na dno sumienia opada pusty śmiech.

Pani Krakowska zatrzasnęła drzwi dnia.

Rozmawia z bratem królem –

z tyłu cieniem idzie gryf.

W gaju pałacowym zabłysły tysiące lamp.

Księżyc wyjrzał zza chmury i przysiadł na gałęzi sosny.

Wstrzymał oddech

i z góry spogląda.

Na twarz hetmanowej spłynął rumieniec.

Armaty przed pałacem dały trzykroć ognia.

Tańce i pląsy trwają do brzasku.
O świcie wojewoda inflancki puka do bram pałacu.
Ubitym traktem pędzi na bachmacie turecki poseł –
ważne nowiny.

Hetman zmęczony nocnym czuwaniem
pochylił głowę.
Przy otwartych drzwiach czuwa Ciołek Poniatowskich
i herbowy Gryf.

IV

Kamienne rzeźby zapadły się w ziemię.
Na szybie okiennej zastygła twarz kobieca.
Pałacową aleją podąża koniuszy Wielopolski
ciągnąc za sobą nić babiego lata.
Przystanął na chwilę i na Parnas spogląda.
Na skroni dotyk jesieni –
w ustach smak wiśni.
Rachunek sumienia ściele szarą godzinę.
Za okiennicą pawilonu spadają krople łez.
Konary drzew rozkołysane niepokojem –
ciągle szumią.

Na błoniach choroszczańskich pohukuje puszczyk.
W gęstwinie lasu wilk wyszedł z legowiska
i ruszył na polowanie.
Na konarach wiązu zawisła sowa płomykówka.
Spogląda na pałac,
gdzie okna pojaśniały w blasku błyskawicy.
W salonie kominkowym pełźnie smuga światła.
Grzmot przetoczył się za ścianą, pospadały obrazy.
Na kartce pamiętnika przycupnęła starość.
Słowa układają się w rozdziały życia.
W twardej oprawie –
resztki snu.

ZAKURZONE ZEGARY

1

Brulion otwarty.

Na kartce papieru niewyraźny tekst.

W zamknięciu powiek zapomniane pejzaże –

na przypomnienie.

Ośnieżone pola.

Sanie pędzą środkiem zamarznętej rzeki –

obrazy mojego życia.

Pory roku przesuwają się na tarczy zegara –

odchodzą bez pożegnania.

Sąsiedzi dźwigają dzbany pełne wina i miodu.

Stawiają puchary na stołach pod drzewami –

brzęk szkła

do białego rana.

2

Na mokradłach utknęła zapomniana kibitka.

Na moście miota się w rozpacz cień ludzki –

poszukuje korony i złudzeń.

Szlakiem powstańców wloką się kolumny

zesańców na katorgę –

ciągną za sobą łańcuch łez.

Na gałązkach jarzębiny wisi szkaplerz,

na którym zastygł pocałunek matek i żon.

GONIAĆ EFEMERYDY

- *zonie*

Jesienny warkocz

Jesień wytraca swój bieg.
Odhodzi za horyzont śladem odlatujących ptaków.
Bełkot spiętrzanej wody za tamą
potężnieje w szybkim nurcie rzeki.
Osoviałe i zmoknięte ptactwo stroszy pióra,
kolebie się na fali.
Przy brzegu bezdomny pies próbuje wejść do wody –
umoczył łapy,
po czym cofa się i spogląda na kępę szuwarów.
Za wzniesieniem stary zapomniany wiatrak
zapada się fundamentami w glebę piaszczystą –
pochylony ku ziemi.
Skrzydła rozpadły się ze starości i zastygły cieniem
w konarach wysokiej topoli.
Platany rozłożyste pochyliły się nad lustrem rzeki,
sięgają korzeniami do czasów dzieciństwa.
Zakole pręży grzbiet
omijając stare spichlerze,
w których hula wiatr.
Tylko czasem przez rozbite szyby
zagląda do środka słońce.
Na krawędzi wzroku dopalają się ogniska
snopem iskier na ściernisku.

Mój dom ukryty w cieniu wysokich lip –
 ciągle stoi.
 Okiennice skrzypią w dotyku wiatru.
 Nad kominem przelatują prądy powietrzne –
 w piecu huczą
 brzoźowe opowieści.
 Płyta kuchenna rumieni jabłka i gruszki.
 Pod okapem suszą się wianki grzybów.
 W długim warkoczcu jesieni cebula dymka
 zabarwiła się brązem.
 Żona pochyliła się nad psalterzem zamyślona –
 milcząca.
 Żuraw studzienny zagląda w cembrowinę,
 łowi cienie wypadające z rękawa chmury.
 Przez lufcik w oknie uleciał wiolinowy klucz –
 odlatuje na południe.

Rozstajne drogi

Trzecia pora roku jak pozółkła kartka papieru
 wypada z kalendarza pełna znaków zapytania.
 Światło naftowej lampy trzyma cienie ludzkie,
 które pochylone nad księgami –
 rozmyślają.
 W dotyku snu stoją szklane domy
 do zasiedlenia przez bezdomnych –
 ciągle czekają.
 Kieszonka dziurawa,
 a książeczka czekowa pozbawiona blankietów
 psuje nastrój dnia.
 Ludzie dźwigają puste żołądki
 podparte krwawiącym wrzodem.

Ciągle w drodze –
 od świtu do zmierzchu.
Fabryki jeszcze oddychają.
Kominy podpierają chmury –
 jak długo?
Dzień płynie za dniem –
 jak sen.
Może jutro będzie lepiej ...
Horyzont wzbiera deszczem.
Nie widać przejaśnienia.
W okazałej willi gra harmonia.
Na tarasie wirują przytulone pary.
Jednak świat może być inny –
 deszcz pada, pada, pada ...

Wizyta Trzech Króli

Wczoraj organista przyniósł opłatki –
 radość wielka.
To znak, że zbliżają się święta.
Na ławie siedzi żona i dyktuje listę życzeń.
Biała kartka papieru płacze kleksem.
Za szybą prószы śnieg –
 pierwszy w tym roku.
Zasypuje ścieżki młodości.
Przez drzwi przenika mróz.
Drżą szyby od naporu wiatru.
Chrystus pochylał głowę
w wymiarze połączanej ramy obrazu –
 zamyślony.

Przed północą próg domu przekroczyli Trzej Królowie
okutani w ciepłe kożuchy i wysokie buty.
Rozparli się wygodnie za stołem –
grzeją odmrożone stopy.
Żona niesie garnek z zupą i pyta: „*Daleko idziecie?*”
Wyższy mężczyzna pochylił się nad talerzem: „*Bardzo daleko*”
„*A skąd idziecie?*”

Pytanie zawisło pod okapem kuchennym –
brzęczą garnki.
„*Z Syberii*”.
Kot zeskoczył z krzesła i wdrapał się na piec.
Nikt nie śpi.
Okiennice ciągle skrzypią
resztkami ludzkiego sumienia.

Wigilijna gwiazda

Komin nuci adwentowe modlitwy.
W torbie na zakupy rajskie jabłuszka –
wspomnienie lata.
Złamane serce z piernika i garść laskowych orzechów.
Pod drzwiami domu Anioł zgubił pukiel włosów.
Córka niesie do pocztowej skrzynki białą kopertę –
chwila ostatnia.
Ścieżką posypaną popiołem
wloką się zapomniane obrzędy –
wróżbę niosące.
Ulicą przeszedł Barnaba.
Zajrzał do ogrodu i przyspieszył kroku –
furtka osypana śniegiem.

Pod piecem babcia odgrzewa zapomniane legendy
i przypowieści z życia świętych.
Za oknem rozkołysały się dzwoneczki.
Konie ciągną sanie pod ośnieżony ganek.
Z dalekiej podróży gość niespodziewany
wyrwany z albumu rodzinnych pamiątek –
radosne przywitanie.

W konarach gruszy zawisła jasna gwiazda,
zagląda do pokoju.
Na szkle malowanym zastygli Mędracy Wschodu.
Na szybie kuchennej karp rumianożłoty.
Pradziadowie schowani za wykuszem
nucą zapomniane pastorałki.
Stary zegar głośno tyka,
na cyferblacie drga cień jodły.
Do drzwi pukają kolędnicy –
zagubione maski teatru.

Odechodzą w śnieżną zadymką wirującą na rozstajach dróg.
W przydrożnej karczmie grzeją zziębnięte dłonie.

Zagubione maski teatru

Przez furtkę przemknął Nowy Rok.
Herody idą ulicą mojego dzieciństwa.
Niosą widły i gwiazdę –
tańczą przed domem.
W wysokiej po kolanie zaspie
diabeł zgubił prześcieradło ciotki Jadwigi,
a na płocie zawisł ogon.
Opustoszały ulice, pogaśły latarnie.

W miękkich fotelach usnęli kolędnicy
zapatrzeni w ekrany złudzeń.
Obrzeżem pamięci
odchodzą przebierańcy.
Lustro drga cieniem dzieciństwa –
żal w sercu pozostał.

Na dnie duszy przechowuję
obrazy bliskich.
Odeszli na długi szlak,
z którego nie ma powrotu –
pozostały efemerydy mojego życia.

ŚLADY NA WODZIE

Sławomirowi Halickiemu

*„Człowiek jest tylko trzcina, najwątliwszą
w przyrodzie, ale trzcina myślącą.”*

(Blaise Pascal)

Dolina

Pszczele kłody pochyliły się nad krzewami z agrestem.
Skloniły słomiane kapelusze nasiąknięte starością.
Rozbudzone pszczoły dotykają sadów brzemiennych
w ciągłym poszukiwaniu brył złota,
ukrytych w zasobnych kielichach kwiecia.
Z fartuszka lata wysypały się jabłka i gruszki.
Pod płótem koniczyna zapłoniła się czerwienią
i skryła pod liściem łopianu.
Na mokradłach wspomnień brodzą czaple i żurawie
jak zjawy bezszelestne w poszukiwaniu pokarmu.
Moja ścieżka życia biegnie przez Narwiańską Dolinę,
gdzie przełomy zbratane z progami
wypełniają baseny torfiaste życiodajną wodą.
Na dnie siatkówki oka bagienny bór,
z którego wygląda rudy lis.
Skrada się do zarośli wierzbowych,
gdzie przycupnął zajaczek i skryła się sarna.

Na granitowym kamieniu wygrzewa się traszka –
łowi okruchy lata.

Z kępy ols wybiegł borsuk
i potoczył się do leśnego zagajnika –
mocno wystraszony.

Zapomniane brogi nasiąkły wilgocią –
samotne.

Wiejski grąjek wynurzył się z wysokiej wikliny
i usiadł na brzegu rzeki.

Spogląda na żeremia skryte w rozlewiskach.

Po chwili z wierzbowej fujarki

popłynęła smutna melodia –

jak przestroga złowieszcza.

W łożowisku zagnieździł się kulik.

Usiadł na gałązce i uważnie nasłuchuje.

Lustrem rzeki przemknął cień rybitwy.

Pod łęgiem wierzbowym podgorzałka stroi piórka

i na brzęczkę nieufnie zerka.

Krucha pamięć gubi klucz żurawi

odlatujący za pasmo wysokich wydm.

Słońce utrudzone przysiadło na grądzie

i spogląda na horyzont wzbierający smugą cienia.

Na krawędzi

Szlakiem wyboistym traktory ciągną zmierzch.

Postacie ludzkie pochyliły się nad Doliną.

Głębokie rowy wydłużają się do horyzontu,

wysysają strumienie wodne

skryte w bagiennych rozlewiskach.

Pogłębiarki dzień i noc
drenują umęczone dno rzeki –
na brzegu rosną hałdy piasku.
Morenowe wzniesienia spoglądają
na opadające lustro wody.
Słup ognia i dymu biegnie przez wikliny i bagienne zarośla
przeganiając derkacze i rycyki.
Bataliony i dubelty poderwały się do lotu
i odpłynęły za zrujnowany młyn.
Świtezianka przeleciała nad szuwarami
gniewna i mocno rozżalona.
Starorzecza i lęgowe ptactwo umierają w ciszy.

Przebudzenie

Zima przegoniła buldożery i ciężki sprzęt rzeczny –
umilkły traktory.
Skuła lodem oszronione mokradła.
Dzień płynie za dniem jak woda w strumyku.
Wiosna otworzyła okno.
Słońce wyrzało zza chmury.
Nurt rzeki płynie
jak nasze życie uczepione koszmarów sennych.
W duszy ludzkiej pęka struna poszarpana.
Trzciny płaczą w starorzeczach.
Podążamy traktem wydeptanym
przez święte gaje, tajemnicze uroczyska,
w poszukiwaniu zaginionego jednoroźca.
Naszym śladem idą cienie przeszłości
jak widma ulotne –
ku skaleczonym źrenicom.

NA ROZSTAJACH

1

Za progiem domu płynie rzeka
wzbierająca gniewem.
Szerokie rozlewiska podtapiają moje myśli.
Opuszczone łodzie spłynęły na skraj młodości,
gdzie czuwa przyjazny Charon
zastłuchany w krzyk niespokojnego snu.
Asfaltowa szosa
poszukuje zapomnianych miejsc –
opuszczonych,
skazanych na istnienie w rozszczepionej
podświadomości.
Zadrzewione wspomnienia
jak korytarze bezkrwiste
umykają za horyzont –
obecne – nieobecne .
Po kryształowym szkle spływają
krople rosy,
dotykają obszarów zakazanych.

2

Biegnę po kładce zdarzeń.
Niebezpiecznie skrzypią wystłużone podpory.
Moja rzeka
ciągle szumi –
ucieka coraz dalej, dalej ...

Rzeko,
pozostawiasz zimne lustro wody ...
Po fali biegnie pusty chichot.
Ciągłe poszukuję swojego miejsca
jak zagubionej Atlantydy,
która skryła się w głębinie
wielkiego zapomnianego morza.

Sen
wypruty z lęków i przywidzeń,
jak silny sztorm
zalewa opadające na dno marzenia –
pozostają ulotne widma.

Brzask
budzi się na skraju młodości.
Na horyzoncie cień człowieka –
biel i czern.

LUBNICKIE HORYZONTY

Janowi Leończukowi

1

Wrzesień przeskoczył przez płot.

Zagląda do ogrodu,
gdzie wysokie krzewy
pochyliły się nad stołem –

wpisane w pejzaż gospodarstwa.

Dworek pochylony nad ulicą,
framugą okienną łowi odległe horyzonty –

las drga w pryzmacie światła.

Do drzwi puka bezdomny wiatr,
niesie nie zapisane pożółkłe liście klonu.

W gabinecie nagłe ożywienie.

Z okolicznościowego śpiewnika wypadają nutki –

rozbiegły się po podłodze.

Płynie pieśń gregoriańskich chorałów.

2

Modlitewnik otwarty
jak twarz zwrócona do słońca.

Pochylamy głowę nad inkunabułem,
rozdziały przysiadły na dębowym blacie.

Wspomnienia opadają na dno filiżanki –

zakurzone legendy, opowieści i wieści.

Pod powałą snuje się nić zdarzeń
przywołanych z katalogu pamięci.
Zapomniane postacie odeszły
na skraj naszego postrzegania –

poszukują tożsamości.

Drewniana szkatułka mieści wiatry zdarzeń –

klucz czasu lekko zgrzyta.

Na strunach wierszy Jana wiolinowy klucz,

nutki biegną ścieżką sumienia.

Dno duszy ściele poletko Pana,

gdzie kasztanowce strząsają owocne opowieści.

3

Za księgozbiorem rozbudził się elf,

trzyma w dłoni tryptyk –

długo nad życiem rozmyśla.

Spracowane dłonie popędzają kołowrotek godzin.

Zegar skrzypi od świtu do zmierzchu.

Na cyferblacie usnął jeździec miedziany –

zgubił poczucie czasu

zasłuchany w ludowe pieśni.

Siatkówka oka pejzaży nie mieści.

Poboczem drogi wracają polne strachy –

niosą okruchy wczesnej jesieni.

W kominku płoną leśne opowieści.

Wzlatujące iskry jak strofy wierszy

zastygają na żaroodpornym szkle.

Regałów z książkami pilnują lipowe światełki.

Wyglądają zza mebli –

podstuchują o czym rozmawiamy.

Pod kapnikiem zawisła drewniana kukułka –
po chwili odleciała za stodołę.
Pies wtulił nos w przednie łapy,
zasłuchany w wrześnie opowieści wiatru.

4

Za oknem wietrzny dzień.
Czas wracać.
Horyzont spowity dymem –
płonie kartoflisko.
Przed furtką tańczą jesienne czarownice.
Siedlisko przyjazne zastyga pod rzęsą.
W dłoni trzymam pamiętnik –
nie mojego życia.
Strumień ukojenia przepływa przez duszę.

Na rozstajnych drogach
czarodziejski flet.

POŻEGNANIE Z MATKĄ

1

Za kępą łożyny stara pochylona kapliczka.
Matka idzie gościńcem po nagły skurcz serca,
wysłuchana w szept litanii.
Na progu zimy w zdrowy, mocny sen zapada,
zapomina o spotkaniu z wnuczką,
której oczekiwała.
Odchodzi odgradzona parawanem wspomnień,
pozostawia album rodzinnych pamiątek
i zasuszone polne rumianki.

Zegar umilkł.
Od rzeki dzieciństwa idzie zawieja i zasypuje
filary zerwanego mostu.
Gęsty śnieg tworzy kurhany wysokie ponad zielone jałowce,
usypuje pojedyncze pagórki dalekich wspomnień –
bez wybaczenia
na wspomnianie.

2

Ludzie niosą chorągwie.
Twarze zamodlone, skupione, chłostane wiatrem.
Pieśń płynie ponad głowami i dotyka chmur –
„Panie, przyjmij służebnicę swoją. . .”

Od strony brzozowego zagajnika przemyka zając
i znika za cmentarnym murem.
Asfaltową drogą idą żałobnicy i śpiewają pieśni –
rozpacz budzące.

Modlitwa błagalna każe zastanowić się
nad kruchością ludzkiego bytu.
Ciężkie grudy ziemi zasypują rozdziały życia.
Ksiądz pochyla głowę i zamyka czarny mszał.
Ludzie rozchodzą się powoli,
szepczą prawie bezgłośnie urywane słowa modlitwy.
Drogą przemknął wojskowy samochód wypełniony żołnierzami.
Na skraju miasteczka jęknęła zasmucona harmonia.
Po śniegu potoczyły się basy.
Bezdomny pies wyje do północy.
W oknach gasną światła.
Cisza.

OTWIERANIE ŚWITU

- córce -

*„Pokolenie przychodzi i pokolenie odchodzi,
a ziemia trwa po wszystkie czasy . . .”*

(Stary Testament, Księga Koheleta czyli Eklezjastesa 1,4)

*„Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona
godzina na wszystkie sprawy pod niebem . . .”*

(Stary Testament, Księga Koheleta czyli Eklezjastesa 3,1)

I

Nasza droga jest usłana kamieniami. W jesienną noc,
wiatr przysiadł w kominie i nasłuchuje.
O szybę tłuką gałęzie drzew.
Deszcz rozmywa ścieżki wspomnień,
przechowywanych w albumie rodzinnych pamiątek.
Twarze naszych pradziadów odchodzą w zapomnienie,
wypłowiałe na słońcu błakają się na krawędzi myśli –
ciągłe w podświadomości.
Nocą pojawiają się za szybą w błysku jasnowiedzenia –
milczące,
zastygłe w zadumie. Szelest spadających liści
i wszystko znika.
Pękają obrazy efemeryd jak bańka mydlana,
pochlania je noc pławiąca się w listopadowej wilgoci –

szaruga chłosta gałęzie gruszy,
drzewa szykują się do zimowego
odrętwienia.

Furtka skrzypi –
północ.
W zawiasach mocuje się wicher i porusza kłamkę
uwięzioną przez zapadkę minionego dnia.
Latarnie pogasły.
Ćmy pofrunęły w różne strony w poszukiwaniu światła.
Na końcu piaszczystej drogi zapłonęły znicze.
Krzyże pochyliły się w starość i dotykają chryzantem.
Cienie chyboczą oświetlając płytę z marmuru
i twarze żyjących

pełne zadumy – nieobecne.
Błądzą myślami w przeszłości i przyszłości
podpierane odwróconym zwierciadłem.

Dłoń położona na wykutych literach w kamieniu i szept:
„Spotkamy się za rok, dwa, a może pięć . . . bracie. . . siostró . . .”
Echo przemknęło w koronie drzewa:

„Z prochu powstałeś,
w proch się obrócisz”.

Minęła północ.
Strażnik cmentarza zamyka bramę.
Za murem pozostały kije starości – skrzypią zegary.
Archanioł zastygł w kamieniu pełen zamyślenia.
Podniósł trąbę do ust i czeka.
Nie popłyną dźwięki – nie ma przyzwolenia.
Klepsydry pracują ciężko przesypując piasek.
Cisza.

II

Pory roku przesuwają się jak talia kart niosąc rozstrzygnięcia.
Zmieniają się figury na szachownicy, które czciliśmy
i są naszą wyrocznią.
Dni idą ciężkie jak granitowe kamienie i ludzie inni –
może lepsi,
swoją pracą dźwigający miasta z ruin,
zapatrzeni na Wschód,
skąd płyną nowe obyczaje –
nowy styl życia.
Dzieci są wychowywane inaczej,
oderwane od pnia i korzeni rodzinnych.
Podeptano świętą tradycję, rozerwano więzi rodzinne.

Inni w tym czasie cierpią w obcych krajach –
za wielką wodą.
Mówi się o nich „wykłęci”.
Odpływają puste łodzie poza horyzont czasu –
pozostał smutek.
Odsuwamy naszych braci od siebie
głusząc wyrzuty sumienia –
źle czynimy.
Święty Piotr przeszedł moją ulicą i zapłakał cicho.

III

Dom ocieniony lipami, piaszczysta ulica,
której nie ma końca,
biegnie pod mury,
gdzie kamienne stacje męki Pańskiej zastygły w czasie.
Obrazy z Apokalipsy rozmyte deszczem są ponad czasem,
w dalekiej przestrzeni.
O wiorstę puste pola, po których poniewierają się łuski
od pocisków –
echo wiosny.
Znaki minionej wojny.
Pod łożyną zbiorowy grób pomordowanych –
brzozowe krzyże milczą.
Na kawałku pordzewiałej blachy tylko jedno słowo:
„rozstrzelani”.
Lampa naftowa zawiesiła na ścianie półmrok.
Nad płytą kuchenną pochylony cień matki.
Wysłuchana w trzask palących się w piecu szczap brzozowych –
nasłuchuje kroków.
Za framugą okienną schował się księżyc,
gwiazdy przysiadły na konarach wiśni.

W głębi ogrodu poruszone cienie bżów i czeremchy.
 Wtulony w poduszkę snu słucham legend z ust ukochanej niani
 aż po zapomnienie, które przychodzi nagle i niespodziewanie.
 O świcie miasteczko budzi fabryczna syrena i ludzie
 wysypują się na ulicę jak wyłuskany groch.
 Rzesze ludzkie idą na zarobek –
 będzie kawałek chleba.
 Szarogranatowy tłum w roboczych drellichach
 zatrzymał się pod bramą –
 zapatrzony w wysoki komin.
 Na wyznaczoną godzinę idzie ciasnym korytem ulicy –
 rozbudzone, fabryczne wojsko.
 Patrzę w światło przeciskające się z nieszczelnego
 pieca kaflowego,
 widzę cienie przemykające pod okapem i na suficie –
 jestem daleko
 poza czasem i chwilą obecną –
 gonię legendę rycerzy Okrągłego Stołu.
 Matka przynosi z pracy obolałe dłonie i kładzie na stole.
 Zmęczone oczy uśmiechają się.
 Za oknem na nieboskłonie płyną klucze żurawi –
 odlatują na południe.
 O szybę tłuką spadające z drzewa poźółkłe nie zapisane liście.
 Ulicą idzie grudzień sypiąc śniegiem – zagłąda do okien i sadu.
 O świcie tunele śnieżne pędzą do ulicy, gdzie zamarł dźwięk
 dzwoneczków uczepionych końskich grzyw.
 Cisza.
 Syberyjski mróz idzie polami rozsadzając pnie drzew,
 pod miedzą
 zając zapadł w mocny sen.
 Ptaki pukają do okna z prośbą o okruchy chleba.

IV

W grudniowe wieczory snują się opowieści przy choince.
Twarze zapatrzone w święta.
Różnokolorowe ozdoby z papieru wirują na nitce.
Na stole leżą opłatki pojednania i zgody.
Kuranty zamilkły, za oknem skrzypi śnieg.
Idziemy przetartym szlakiem na pasterkę.
Po powrocie, w środku nocy nasłuchiwałem kroków
świętego Mikołaja –

byłem pewny, że przyjdzie.
Święty Szczepan przyprowadził pod drzwi domu
zapomniane maski teatrów.
Kolędnicy wydeptują ścieżkę po Nowy Rok.
Styczeń zasypuje ślady ludzkich stóp.
Zmęczone Herody odchodzą na rozstaje dróg.
Schronili się w przydrożnej gospodzie
i usnęli przy dębowym stole.

Wiosną biegniemy ścigając rwące potoki wody.
Na ulicę wchodzi wygłodzone półpoście.
Znikają bramy do krainy dzieciństwa.
Chłopski wóz na stodole słomę mości.
W wielkim tygodniu starowiery żują czerstwy chleb postu –
nastąpiła cisza.
Do drzwi puka Wielkanoc, a w cebulniku barwią się święta.
Matka chrzestna dzieli się ciastem, pisanką.
Dom odwiedzają różni ludzie.
Ukochana niania przyniosła wiosenne kwiaty
i zapomniane legendy.

Portrety i posągi w muzeum mają przeznaczenie.

Tak nie jest.

Patrzą na nas i podsłuchują, a nawet próbują

odgadnąć nasze myśli.

Dzień i noc.

Po północy pukają w szybę, gotowe kontrolować nasze sny.

VI

Strażnicy naszego życia idą przez ogród
podpierając karabinem świt.

Matka ukryła ojca za kominem – trwało to pięć dni.

W sobotę powlekli go do dużego miasta

i nie wiemy co będzie dalej –

może wróci ...

Matko, boisz się mówić u schyłku dnia.

Nie chcesz, aby gorzkie słowa wydały cię na łup bezsilności,
a to oznaczałoby dla nas rozłąkę.

Tak łatwo jest roztrwonić życie,

które jest tylko jedno.

Bardzo łatwo – jednym słowem, gestem.

Koszmary nawiedzają noc wyprutą z rękawa lęków.

Matko, oboje pochylamy głowy, zasłuchani

w płacz duszy.

Myślimy oddzielnie, ale prośba jest wspólna.

Widzenie świata przed ołtarzem Czarnej Madonny.

Z bocznej nawy wygląda święty i cieniem przechodzi do kruchty.

Cherubiny szczerozłote zastygły u wierzchołka ołtarza –

zatrwożone.

W konfesjonale rachunek sumienia.

Organy milczą.

W kolorowych witrażach droga krzyżowa.
Pan umęczony dźwiga przyszłość świata zastygłą w kropli krwi.
Mijając bramę zobaczyłem flagi okryte kirem.
Smutek wlecze się ulicą pod drzwi domu.
Po kilku dniach wrócił ojciec i mówi do nas przez łyzy,
w powietrzu unosi się
trupi zapach – wieje grozą.
Kwadra księżycy w porodzie. Za oknami skrzypią resztki śniegu.
Nocą do mojego pokoju wszedł ojciec i powiedział:
*„Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona
godzina na wszystkie sprawy pod niebem .”*
Cień odbity na ścianie dotrwał do brzasku.
Za oknem przeszedł silny wiatr i zerwał dachówki.
Za rzeką wyrzuciło chłopski wóz.
Tylko psy podkuliły ogony
i wyją całą noc – po świt.

VII

Przed domem ołtarzyk przystrojony zielenią.
Ulicą idzie Boże Ciało.
Pod baldachimem Chrystus zadumany,
wpatrzony w ludzkie twarze.
Koryto ulicy ludzi nie mieści – pieśni nabożne śpiewamy.
W dłoni różaniec Karoliny i myśli o dalekiej Padwie –
słońce przegląda się w monstrancji
Ojciec dźwiga krzyż.
Matka klęczy na piasku – zamodlona, zamyślona.

Pod kolanem wbijają się w ciało kawałki szkła –
nasze życie zbudowane na krwi.
Ołtarze i ulice przesuwiają się na cyferblacie zegara –
upał i kurz.
Od strony rzeki idą męczennicy i dźwigają kamienne tablice.
Za nimi podąża grupa biczowników zawodząc:
„*Panie, nie jesteśmy godni . . .*”
Na końcu ulicy siwobrody pustelnik zacisnął na różańcu
medytacje i siłę pokory.
Zmieszali się z tłumem i idą krętą uliczką do bram kościoła.
Dzwony: święty Jan i święty Michał biją nieustannie.
Pod drzewem cień kobiety trzymającej
w dłoniach obraz świętego.
W szklach witraży zatrzymało się kolorowe słońce –
poruszenie wśród świętych.
Do konfesjonału puka ludzkie sumienie.
Dzwony ciągle kołyszą się na wysokiej wieży.
Ludzie napływają fala za falą zapatrzeni w życie.
Za murem bezbarwne postacie w kapeluszach liczą w pamięci
ludzkie twarze, notują słowa kazania – mącą nastrój dnia.
Proboszcz pochylił głowę, a tłum zaintonował gromkim głosem:
„*Nie rzucim ziemi skąd nasz ród . . .*”
Dziecko przeciska się do wrót ołtarza – słysząc głosik:
„*Matko, gdzie jesteś ?*”

VIII

Wstaje poranek z otępienia.
Słońce zagląda do bocianiego gniazda, które jest puste.
Przemiana w klasie – portrety zdejmują.
Wszyscy przemówili językiem prostym.

Jutro będziemy lepić z plasteliny zwierzątka,
 a na kartce papieru narysuję prawdziwego tatę.
 Na gałęzi drzewa przysiadły ptaki i ustawiły piórka pod wiatr.
 Drzwi otwarte na oścież. Prośba o słoneczny dzień.
 Nikt nie mówi o przebaczeniu.

IX

Ulica podparta pięcioma domami i ciągiem ogrodów.
 Horyzont biegnie po linię lasu.
 W oddaleniu wzgórze i mokradła, po których brodzą bociany
 i czaple w poszukiwaniu pokarmu.
 O dwie wiorsty obelisk z piaskowca dla tych,
 którym obiecano wolność przez komin i słowa dotrzymano.
 Na wzgórzu kościółek i grotą z chłodnym źródłem,
 święte miejsce – uzdrowienie chorych.
 Przyszań dla schorowanej duszy, do której zagląдают
 prorocy naszego dnia, próbując ułożyć kalendarze przyszłości –
 skazanej na kontrolowane życie.
 Ulicą płyną wiatry przeszłości.
 Zagląдают do okien, pukają do drzwi.
 Nasłuchują o czym rozmawiamy.
 Na progu jesieni powstają nowe domy.
 Powracają ci, którzy przetrwali na szlaku syberyjskim.
 Repatrianci ciągną na wozie Matkę Ostrobramską –
 modlą się do naszych świętych.
 Jedni pozostają na mojej ulicy,
 a jeszcze inni jadą dalej na zachód,
 w poszukiwaniu krajobrazów odbitych w lustrze pamięci.
 Teraz, gdy już przywitaliście nasze strony,
 to nic złego stać się nie może.
 Rozplątuję warkocz jesieni.
 Po północy z hukiem otwierają się bramy czasu.

Spotykam na swojej drodze królów, świętych
i zapomniane legendy –

 pokrzepienie duszy.

Skrzypi noc na zawiasach. Głowa matki pochyła się nad stołem:

„Nie psuj wzroku. Po rzece stąpa świt . . .”

Noc dopała się na świeczniku.

Przy końcu jesieni w naszych domach

rozbłysło słońce uwieszone sufitu.

Ulicą przejechał pierwszy motocykl.

Dzieci zawisły na płocie jak ptaki i otworzyły z podziwu usta.

Tylko słońce nie zmieniło oblicza – przyjazne, uśmiechnięte.

X

Nadleciały żurawie, musnęły wierzchołki drzew
i skryły się w mojej pamięci.

Nad ranem przeznaczenie zapukało mocno do drzwi.

Ojciec odszedł bez słowa pożegnania zabierając głodową śmierć,
zapatrzony poza chwilę obecną –

 może czegoś poszukiwał ...

A teraz idziemy piaszczystą ulicą

rozmyślając nad kruchością ludzkiego życia.

Pochyliłem się nad usypanym kopcem –

 żał pozostał.

Bracia i siostry jak ptaki wędrownie odpłynęli na południe –

 zapatrzeni w karty tarota.

Pozostałem z matką dźwigając kamienie życia.

Czas nauki i pracy.

Raz do roku spotkanie przy wigilijnym stole.

Twarze zapatrzone w obrazy życia, po zimowy poranek.

Za płotem stoją ludzie jak woskowe wróżby nowych dni.

Szlak, który nie ma końca wydłuża ścieżki naszej ułomności.
Po drodze gubimy przyjaciół, rodziny –
ludzie o nas zapominają.
Ewolucja pokoleń – do zatracenia, bez odwołania.
Poczucie czasu, które stworzyliśmy pozwala spojrzeć
w lustro wody
i stwierdzić jak daleko zaszliśmy – przewidzieć,
ile pozostało nam dni życia.
Pozostawiamy domy, pałace i ważne stanowiska –
idziemy do bramy
naszego przeznaczenia.
Nasze życie jak widmo ulotne przemyka ponad strefą czasu
i odchodzi za widnokraj postrzegania.
Ciągle w drodze.
W ruchu powiek zamykamy krajobrazy – etapy naszego życia.

XI

Człowiek jak drzewo pochyla się ku ziemi.
Przyjmuje na siebie wiatr i deszcz. Ciągle zmaganie z losem.
Zapatrzona w życie idzie ścieżką wydeptaną przez świętych.
Cieszą ją nowiny dobre – złe przyjmuje z pokorą.
Ciągle z twarzą pod wiatr ...
Odeszła w grudniową noc,
gdy czołgi jeździły po ulicach.
Gdzie jesteś matko?
Za szybą krótki dzień. Słońce przemyka w mroźnym powietrzu.
Za konduktem wlecze się smutek i żal.
Naprzeciwko jadą wojskowe samochody.
Silny mróz popędza garstkę ludzi do bram cmentarza,
gdzie popłynęły słowa pożegnania.

Noc.

Na śniegu chrzęst podkutyh butów.

Na rogatkach wyrosły zapory – odrutowane miasta.

XII

Idę zapatrzony w lustra wody na chodnikach.

Cieniem włoką się obrazy wspomnień z duszy wydarte.

Z labiryntu zdarzeń wypływa czerń i biel –

jak nasze życie,

które ustroiliśmy nieomylnością,

zapatrzeni w złotoustych proroków.

Nieomylnie idee, ludzie z granitu –

przyszłość kreślona na lodowej krze.

Za wzgórzem szklane domy podpierają karty lektur szkolnych.

Wizja zatrzymana w czasie pozostała nadzieją niespełnioną.

Dom pełen niepokojów, zwid i strachów.

Przychodzą białe koperty ostemplowane cenzurą.

Dłoń pióra nie chwyta.

Przechowuję pisma ulotne.

To są nadzieje, które pozwalają wytrwać i myśleć o nowym dniu.

Z twarzą we mgle poszukuję ludzi z duszą rozdartą.

Potykam się o kamienie ludzkiej ułomności.

„Człowiek jest tylko człowiekiem” – jedno rozstrzygnięcie,

nic więcej.

Poszukiwanie swojej tożsamości w zniewolonym kraju,

gdzie drzewa umierają,

było pielgrzymką po drodze krzyżowej.

W drodze do prawdy i strumienia światła,

przeciskam się przez życie jak przez ucho igielne –

nasłuchuję kroków

i szeptów sumienia.

XIII

Trzymam pióro w ręce – poszukuję słów i myśli,
które przelewam na papier –

kropla po kropli.

Nocne rozmowy z Lukrecjuszem, Safoną
pozwały spojrzeć poza horyzont minionego czasu,
poznać nowe prawdy i innych ludzi.

Moje wędrówki oparły się o Asyż, Padwę, Lourdes,
gdzie poznałem żywoty świętych
poszukujących drogi do światła –

która była im wskazana.

Opowiadam im o naszych zapomnianych braciach

teraz,

kiedy na horyzoncie przybywa cierpiących, męczenników
różnych idei.

Głos spoza góry biegnie echem: „*Najmilszy, nie naśladowaj złego,
ale co jest dobrego. Kto dobrze czyni, z Boga jest;
kto źle czyni, nie widział Boga*”.

Strumień nadziei przepływa przez palce.

Wzrok uczepiony jednego punktu postrzega więcej
niż wypatrywanie znaków w kryształowej kuli.

Zmęczyły się stare zegary.

Zakurzone podpierają ściany strychu –

jutro będą w śmietniku.

Ulica wydłuża się śladem minionego lata.

Pozostają myśli uczezione obrazów dzieciństwa –

odtrutka na fałsz i obłudę.

Postacie ludzkie wypadają z albumu wspomnień –

smutek i żal pozostał.

Ubywa dni – mniej przyjaciół.

XIV

Wierzchołek góry w poświęceniu księżycowej.
Miasto śpi. Pogasty uliczne latarnie – przybyło nowych krzyży.
Nasza droga usłana mogiłami i cierpieniem –
kiedy to się skończy?
Strumienie smutku przez mój dom przepływają.
Gazety ulotne jak relikwie krążą opłotkami osiedla.
Stukanie o szybę – to wiatr niesie zapisane liście –
spóźnione nowiny.
Jak rozbitek na morzu zostałem sam.
Najbliżsi musieli wyjechać z miasta.
Inni zapadli w odrętwienie żyjąc okruciami minionych dni,
a jeszcze inni przyjęli nowe dni z ulgą.
Czas zmian.
Dudnią złącza szyn rozcinając krajobrazy na dwie połowy.
Za plecami pozostał rodzinny dom.
W dłoni różaniec Karoliny i słowa: „. . . bądź wytrwały”.

XV

Osiedle kamiennych domów i nowe twarze.
Złośliwe Erynie zgubiły ślad i pozostały za rzeką.
Sierpniową nocą spadają gwiazdy –
może powodzenia.

Po najwyższe piętra biegnie głos dziecka –
zakwitło nowe życie.
Czas nadziei i ludzie inni – wartości te same.
Autobusy ciągle jadą.
Życie uczezione czterech kół
w drodze po kawałek chleba.

XVI

Lody puściły i rzeka płynie wartkim strumieniem –
przemiany.
Czerwone szturmówki poniewierają się pod śmietnikiem,
jutro wywożą je na wysypisko za rogatki miasta.
Na urwisku pochylone malowane bóstwa,
które wczoraj czciliśmy – dzisiaj w niepamięci.
Patrzą na drugi brzeg, gdzie nadzieja i przetrwanie.
Ciagną między sobą losy, kto pierwszy stopę umoczy –
w rzece bez dna,
w głębinie zapomnienia.
Przed północą piorun zapalił dom biednej wdowy,
a psy wyły zapatrzone w księżyc.

XVII

Fabryki podparte zebraczym kijem łapią drugi oddech.
Rozjarzone światła w oknach banku –
ludzie pracują.

Sąsiad puka do drzwi i pokazuje czekową książeczkę:

„*mój trud pracy*”.

Na klatce schodowej dziecko niesie świadectwo.

Skala możliwości – co było złe jest jeszcze mierne.

Obrazy przemian.

Pod murem cienie przechwytyją świadectwa własności,

brzęczą drobne monety.

W portfelu tkwi karta kredytowa na ludzkie życie.

Środkiem ulicy przemykają krążowniki szos,

wiozą nowobogackich do biur, nowych urzędów.

W oknach domów pojawiły się kraty –

przemiana w ludziach.

Twardnieją serca i dusza wypłukuje się z resztek człowieczeństwa.

Wczoraj mówiliśmy: „*Boże dopomóż*”.

Dzisiaj zapatrzeni w złoty garb – zapominamy o ludziach,

ludzie zapominają o nas.

Przez dziurę w płocie przemykają sekty depcząc nasze wartości,

które chowamy na dnie serca –

przybywa fałszywych proroków.

Środkiem ulicy idzie zapomniane dziecko –

na zatracenie.

Krok po kroku zbliżamy się do wspólnej Europy

zapominając o własnej tożsamości –

przewartościowanie naszej duszy.

XVIII

Światła wielkich miast świecą jaśniej.

Ziemia drży – tyle spraw jest jeszcze do wyjaśnienia.

Białe jest białe.
Czarne jest czarne – nie może być inaczej.
Za burzliwą rzeką areopag starców żyje wspomnieniami.
Brazownicy padli na długim szlaku i nie powrócą.
Mowy pochwalne utrwalone drukiem wyrzucamy do kosza –
nowe wartości.
A może możliwości swobodnego budowania naszego życia ...
Na stoliku kartka papieru i parę strof dnia.
Czekam na powrót braci z długiego szlaku –
zapomnianych pustelni.
Pod śmietnikiem przycupnęli starowiery,
żują chleb skażony plewami –
opowiadają legendę o człowieku ze Wschodu.
Za framugą okienną schował się dziad wędrowny i wyciąga dłoń
po kromkę chleba: „*Panie ,czy jeszcze coś dają ?*”
Moje ścieżki zapełniły się bezdomnymi i żebrakami.
Starzy ludzie i młodzi ludzie.
Echo biegnie po fali rzeki: „*Pokolenie przychodzi i pokolenie
odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy . . .*”
Sumienie i dusza jak cienka membrana oczyszcza się
w strumieniu łez – niespokojne myśli ciągle w czuwaniu.
Odkurzone zegary pracują wytrwale,
a my
pilnujemy naszego zwierciadła zdarzeń z obawą,
aby ludzie z podwójną twarzą nie otwierali drzwi świtu.



Otwieranie, czy zamykanie świtu ?

Utwory Antoniego Hukałowicza zawarte w zbiorze *Otwieranie świtu* stanowią próbę zatrzymania odchodzących wartości, a także ocenę moralną kondycji współczesnego człowieka w zetknięciu się z narastającym hedonizmem i utylitaryzmem.

Poeta występuje tu jednak nie w roli sędziego, lecz uważnego obserwatora, świadka dziejących się zdarzeń. Tylko niekiedy spogląda na świat okiem życzliwego doradcy, próbującego podpowiadać mniej lub bardziej dyskretnie kroki zmierzające do urzędzenia zastałej rzeczywistości. A czyni to przy pomocy takich poetyckich środków, jak: aluzja, metafora, paradoks, czy uciekając do podtekstów i niedomówień.

Już sam tytuł: *Otwieranie świtu* zawiera w sobie spory ładunek nadziei i optymizmu. Przeto nic dziwnego, że na początku utworu „W dotyku milczenia” w części III autor niejako sugeruje, że wcześniej zanim nadejdzie „czas nadziei”, trzeba przygotować się na wiele przeciwności, utrapień, słowem trudnych doświadczeń życiowych. A w konkretnym przypadku doświadczenia te nie są czymś iluzorycznym. Podmiot liryczny przeżywa bowiem dramat utraty słuchu. I dlatego w utworze dedykowanym przez poetę temu, który pozwolił mu wrócić do świata słyszających, alter ego poety wyraża to w sposób niezmiernie ekspresywny. Cytuje: „Ptaki umilkły, gałęzie drzew nie szumią / Za matczynym lasem ucichły słowiki. / rozsypały się pozytywki młodości / .../”. Część I kończą jakże znamienne słowa: „Idę śladem odcisniętym na piasku, / trzymając w dłoni zakurzoną Ewangelię / Tylko to pozostało”.

„Zakurzona Ewangelia”. A zatem należy ją odkurzyć, zanim zacznie się czerpać z jej przebogatych treści. Tymczasem doświadczenia trwają. Gnębi niepewność i lęk o przyszłość ... I oto nadchodzi wreszcie oczekiwany czas nadziei. Podmiot liryczny wyznaje otwarcie: „Przez moją duszę ciągle płynie strumień wiary, / Jak rozbitek rzucony na głęboką wodę, / podpieram się wiosłem nadziei / - dopłynę do zbawczego brzegu”.

Wiara czyni cuda. Następuje powrót do świata słyszających. „Chmura przesunęła się za oknem i wyszło zdziwione słońce/ Sąsiad pochylił się nad łóżkiem/ - długo pana nie było/ .../Ludzki głos przeradza się w krzyk, /Szyba zastygła w pejzażu wielkiego miasta /Napływa mgła snu/, przez którą biegnie przytłumione echo/ kościelnych dzwonów”.

A zatem warto było cierpieć, skoro owoce cierpienia dojrzały, stały się soczyste i słodkie.

Ładzenie świata, układanie go na nowo wedle sprawdzonych wartości nie jest takie proste. Zresztą poeta nie chce go modelować na siłę. Widzi złożoność problemów. Dlatego próbuje wgłębić się w ludzką psychikę. Chce spojrzeć na świat poprzez wnętrze natury ludzkiej, także przez prymat historii, która ją kształtowała. Tylko w ten sposób można dotrzeć do prawdy. A ta jest bardzo złożona. Zmienia się jej obraz jak w kalejdoskopie. Gdzież tak, jak nie na przestrzeni dziejów dojrzeć można tyle przejawów ludzkiej wielkości, wzniosłości a niekiedy także słabości a nawet podłości? ... I oto wydobywają się z mroków historii postacie mniej lub bardziej znane, odżywają stare uliczki miasta, jego mniej lub bardziej szacowne budowle. Pojawiają się starzy mieszkańcy Choroszczy ze swoimi zwyczajami, upodobaniami, z nękającymi ich chorobami i śmiercią.

Tak to poeta rysuje obraz miejsca swego zamieszkania. Jest to raczej, rzecz można, szkic kreślony cienką kreską, ale jakże wymowny, nie przerysowany, z odniesieniem się do jego bogatej przeszłości ...

Choroszcz w lirykach Antoniego Hukałowicza nie jest li tylko konkretnym miejscem na mapie. Stanowi ona pretekst do zasygnalizowania odwiecznego losu mieszkańców planety, jakim jest przemijanie. Bardzo ekspresyjnie wyraził to autor *Otwierania światu* w wierszu nomen – omen „Na krawędzi przemijania”, gdzie „Za Białymi Dolinami” złocą się łubiny /.../ Polny strach / ... /pilnuje zasiewów/ Ptaki omijają Górę Powstańców/ i zaglądną do sadów, gdzie dojrzewają wiśnie /.../ Na stole suszą się zioła,/ pod kominem leży garść chrustu/ Na dnie duszy osiadł

smutek - / tęsknota za bliskim człowiekiem./ Z dłoni wypada linia życia / .../ Przy furtce stoi przeznaczenie.”

Przemijanie, ten nieodłączny atrybut historii przewija się na stronach tej książki nieustannie. Ale najbardziej nostalgicznie ujawnia się w części zbioru zatytułowanej „Choroszczańskie błonia”, gdzie „Uliczką ocienioną drzewami/ przemyka słoneczny dzień,/ potyka się o wyboje, kamienie./ Śpieszy do kościoła/.../ Spiżowe tony spływają na miasteczko,/ pukają do drzwi chat/ i po chwili mkną do pałacu - / niosą ważne wieści. / Klasztor pochylił się w cieniu drzew/ i zastygł w sennym półśnie / .../ Opłótkami miasteczka skrada się cholera i dżuma,/ Cmentarze ozywają pamięcią o bliskich / .../ .

...Oddawszy co należne historii, poeta powraca raz po raz do współczesności, przyglądając się uważnie kondycji moralnej ludzi naszych czasów, a zwłaszcza tych, którym powierzono z woli narodu sprawowanie rządów. Zapatrzeni we własne interesy zdają się zapominać o swoich zobowiązaniach wyborczych. Dlatego podmiot liryczny wypowiada z sarkazmem i bólem gorzkie słowa: „W dotyku snu stoją szklane domy/ do zasiedlenia przez bezdomnych / .../”. A dalej: „Kieszeń dziurawa/ książeczka czekowa pozbawiona blankietów /.../ Ludzie dźwigają puste żołądki/ podparte krwawiącym wrzodem /.../ Fabryki jeszcze oddychają/ Kominy podpierają chmury/.../ W okazałej willi gra harmonia/ Na tarasie wirują przytulone pary/ Jednak świat może być inny /.../.”

No cóż ... Obiektywny dotąd obserwator – podmiot liryczny – zdaje się denerwować. Powraca zatem w lata młodości, gdzie w kolejnych wierszach zawartych w podtytułach „Pożegnanie z matką” i kończącym zbiór, „Otwieranie świtu” zanurza się w głębiach lirycznej pamięci ... Tam jednak nie odnajduje spokoju, bo ... „ Za kępą łożyny stara pochyłona kapliczka./ Matka idzie gościńcem po nagły skurcz serca/ .../ Odchodzi odgradzona parawanem wspomnień,/ pozostawia album rodzinnych pamiątek/ i zasuszone polne rumianki / .../.

Czas przemijania wysuwa się na plan pierwszy. I tak już będzie prawie do końca książki. Bo chociaż czas się zmienia i „Czerwone szturmówki poniewierają się pod śmietnikiem”, los człowieka niezmiennie prowadzi go ku ostatecznemu przeznaczeniu ... Ale zanim nastanie kres, trwa zażarta walka o byt. „twardnieją serca i dusza wyplukuje się z resztek człowieczeństwa /.../ zapatrzeni w złoty garb – zapominamy o ludziach,/ ludzie zapominają o nas /.../ przybywa fałszywych proroków/ Środkiem ulicy idzie zapomniane dziecko / - na zatracenie / .../”.

Tak więc pomimo motywów nadziei i optymizmu zaakcentowanych w tytule, zbiorek kończy się pesymistycznym zgrzytem. Poeta nie może pogodzić się ze współczesnością. Nie potrafi zatrzymać umykających chyłkiem wartości. Egoizm, chęć zysku za wszelką cenę, pogarda dla uznawanych dotąd wartości, to znamiona czasów, obce podmiotowi lirycznemu. Dlatego woła w desperacji: „Moje ścieżki zapełniły się bezdomnymi i żebrakami.../ powtarza za Eklezjastą: „Pokolenie przychodzi i odchodzi, / a ziemia trwa po wszystkie czasy ...” Ale, czy to jest aż tak pewne? O tym podmiot liryczny zdaje się nie być przekonanym do końca. Bo zaraz w następnym wersie dodaje: „Sumienie i dusza jak cienka membrana oczyszcza się w strumieniu łez / .../” Ale czy same łzy wystarczą do zachowania świata? Na tak sformułowane pytanie, rzecz jasna, nie ma odpowiedzi. Poeta wie o tym i milczy. W tym też tkwi bowiem siła tych wierszy, że wybrzmiewają one do końca tylko w podtekstach. Podmiot liryczny nie chce podawać rozwiązań. Konflikt zatem trwa ... I słusznie, wszak literatura żywi się konfliktami. Autor *Otwierania świtu* wie o tym i dlatego jest konsekwentny od pierwszej do ostatniej strony książki. W ten sposób wykazuje swoją dojrzałość artystyczną. Dojrzałość ta jest wynikiem systematycznej pracy nad piórem. / .../

Mieczysław Czajkowski



Spis treści

W dotyku milczenia	3
Na krawędzi przemijania	12
Po drugiej stronie puszczy	13
Choroszczańskie błonia I	16
Zakurzone zegary	20
Goniąc efemerydy	22
Ślady na wodzie	28
Na rozstajach	31
Łubnickie horyzonty	33
Pożegnanie z matką	36
Otwieranie świtu	38
M. Czajkowski: <i>Otwieranie, czy zamykanie świtu?</i>	57
Spis treści	61



Hukałowicz
Otwieranie
Eo

Antoni Hukałowicz urodził się 20.06.1949r. w Wasilkowie. Obecnie mieszka w Choroszcy. Debiutował w 1972 r. w *Tygodniku Kulturalnym*. Jego wiersze drukowały: *Nowy Wyraz*, *Nasz Klub*, *Kontrasty*, *Gazeta Białostocka*, *Najprościej...*, laureat wielu konkursów literackich.

Dotychczas ukazały się tomiki poezji: *Długi sen* (1973), *To było wczoraj* (1988), *Wysłuchani w deszcz* (1989), *Idąc śladem cienia* (1999), *Portrety rodzinne* (2000).

O wierszach A. Hukałowicza.

Nowy tom wierszy Antoniego Hukałowicza "Otwieranie świtu" potwierdza poziom artystyczny, ugruntowany przez Poetę w latach siedemdziesiątych. Po wieloletniej przerwie wraca twórczość tegoż poety, odzyskując miejsce jej przynależne. I pozostaje wierny wyznaczonym przez lata tematom - a są nimi niezmiernie czule rejestrowanie pejzażu i człowieka w nim osadzonego. To swoiste życiopisanie, wierne nie poddające się błyskotliwym modom - zasługuje na szacunek. Tym bardziej, że poetycka płaszczyzna z wiersza na wiersz, wyostrza się, staje się przez to jasna i dojmująca w swoim przesłaniu. Wydaje mi się, że jest to jedna z najważniejszych ról jaką pełni poezja w „wydaniu” Antoniego Hukałowicza, dotkniętego doświadczeniem życiowym - niesie w sobie nadzieję. "Otwieranie świtu" - to zarazem otwieranie życia, mozolne, codzienne przyjmowanie z pokorą świata, z jego radościami i smutkami, zadziwieniem, które w poetyckich wersach odnajduje sens trwania.

Życiopisanie, w formie poetyckiej A. Hukałowicza, to jeszcze jedna próba utrwalania „ziemi najbliższej”. A zarazem świadectwo umiłowania tego co nas otacza, bez fałszywych tęsknot do wędrówek po świecie, bez apatycznego wyidealizowania najbliższej wielkością. Stąd w wierszach Choroszcz, Wasilków etc. - jakby poszukiwanie go Edenu. I odnajduje w najprostszych słowach, nieskładam



Jan Leończuk

ISBN 83-88248-36-7